
SUKCES I KLĘSKA REALISTÓW

TOMASZ WIŚCICKI

TOMASZ SIKORSKI, *O kształt polityki polskiej. Oblicze ideowo-polityczne i działalność Ruchu Młodej Polski (1979–1989)*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń – Szczecin 2011, ss. 680.

Ruch Młodej Polski – jedno z najważniejszych ugrupowań opozycji przedsierniowej, istotne także w latach osiemdziesiątych – doczekał się swojej historii. Już wcześniej jego dzieje przedstawił Piotr Zaremba w obszernym, bardzo ważnym i ciekawym tomie *Młodopolacy* (Gdańsk 2000), jednak mimo historycznego wykształcenia i warsztatu autora nie była to praca historyczna *sensu stricto*, ale dzieło oparte na wypowiedziach samych bohaterów. Tym razem mamy do czynienia z klasyczną monografią, łączącą (na co wskazuje podtytuł pracy) historię idei i historię bezprzymiotnikową, historię po prostu.

Tomasz Sikorski wykonał pracę ogromną, na co wskazuje choćby imponująca bibliografia. Wykorzystał zarówno to, co już o RMP pisano, jak też potężną bazę źródłową: obfitą produkcję publicystyczną i oficjalne dokumenty młodopolaków i innych ugrupowań opozycyjnych, wydawnictwa drugiego obiegu, zbiory prywatne, akta Służby Bezpieczeństwa ze zbiorów Instytutu Pamięi Narodowej, relacje. Napisał pracę tyleż obszerną, co drobiazgową. Szczegółowo przedstawia w niej historię RMP – od pierwszych, młodzieńczych działań opozycyjnych przyszłych młodopolaków przez wczesne zaangażowanie w zorganizowany ruch opozycyjny, decyzję o podjęciu działań na własną rękę i pod własną firmą, kolejne fazy dzia-

łania Ruchu, aż po narastające rozdzwęki w jego łonie i wreszcie kres istnienia RMP jako jednolitej formacji. Pokrótce omawia też dalsze losy młodopolaków.

Autor pokazuje procesy prowadzące do tworzenia i zanikania środowisk opozycyjnych. Widzimy, jak w opozycji do Komitetu Obrony Robotników, w którym dominującą rolę odgrywały osoby o wrażliwości lewicowej, organizują się ludzie i środowiska odwołujące się do – różnie zresztą rozumianej – inspiracji prawicowej, tworząc Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Ten z kolei, od początku zróżnicowany, rozsadzają wewnętrzne napięcia ideowe i personalne, aż wreszcie część tych środowisk postanawia stworzyć własną organizację, którą nazwała Ruchem Młodej Polski. Te procesy autor opisuje szczegółowo i kompetentnie, choć widać, że jego specjalnością jest historia myśli politycznej. Wydarzenia prowadzące do przetasowań w opozycji przedstawia jasno i zrozumiale. Może najtrudniej zrozumieć istotę sporu między członkami KOR i ROPCiO, ale to akurat jest w książce wątkiem pobocznym.

Jeśli już o wątkach pobocznych mowa: jest ich w pracy mnóstwo. Historia RMP ukazana jest na tle niezwykle szerokim. Czasem to zaleta, czasem wada. Niewątpliwą zasługą autora są uzupełnienia dotyczące niewielkich, słabo opisanych,

nieraz wręcz zupełnie zapomnianych środowisk. Takie wyjaśnienia, nawet jeśli przybierają postać monstrualnie wielkich, niełatwych w korzystaniu przypisów, są bardzo pożyteczne. Jeśli jednak autor drobniogowo przedstawia genezę wyborów 4 czerwca 1989 r. – znaną i szczegółowo opisaną przez innych – aż się prosi, dla jasności wywodu, o większą powściągliwość. Owszem, w wydarzeniach tych istotną rolę odegrał Aleksander Hall, jeden z przywódców RMP, ważny był udział Marka Jurka (skądinąd bardzo interesująco przez autora opisany), odnosili się do nich również wszyscy członkowie erempowskiego kręgu. Jednak bardziej skrótowe przedstawienie tła służyłoby lepszemu wyeksponowaniu tego, co jest istotą rozważań – historii Ruchu Młodej Polski i jego działaczy.

Generalnie rzecz biorąc, treść książki – czyli to, co najistotniejsze – jest jej mocną stroną. Trochę gorzej jest ze stroną formalną. Zacząć należy od tytułu, stanowiącego niezamierzone, jak myślę, nawiązanie do języka gierkowskiej propagandy, której charakterystycznym chwytem był – jak to zgryźliwie nazwali badacze – biernik postulatyczny: „0...” (np. *O dalszy dynamiczny rozwój budownictwa socjalistycznego*). Opozycjoniści, którzy przeciwstawiali się także ówczesnemu językowi propagandy, naprawdę nie zasługują na to, by w tytule poświęconej im pracy traktować ich biernikiem postulatycznym w czystej postaci.

Trudno też doprawdy pojąć, skąd w książce tak odczytanego autora (sześćdziesiąt stron bibliografii!) znalazły się takie osobliwości, jak np. Halina Mikołajewska, Jean-François Ravel, Władysław Barańczak czy Grupa Krajowa (zamiast Grupy Robotniczej Komisji Krajowej). Tym to dziwniejsze, że sąsiadują one nieraz z tymi samymi personaliami i nazwami zapisanymi poprawnie. Znak to wyraźny, że książce zabrakło uważnego redaktora.

Ten sam redaktor nie przepuściłby z pewnością monstrualnej liczby użytych przez autora cudzośłów. Opatrzył on nimi niemal wszystkie słowa użyte w sensie nie w pełni dosłownym oraz wiele

innych – z powodów, których dociec nie sposób. To szkolny błąd, utrudniający lekturę, za każdym razem u uważnego czytelnika uruchamiający mechanizm dociekania, co ten cudzośłów ma wyrazić – w 90 procent przypadków prowadzący do wniosku, że nie wiadomo co albo z pewnością nic.

Ważnym uzupełnieniem książki są pochodzące głównie z prywatnych archiwów zdjęcia. Pozostał na nich klimat czasu, gdy rzucenie wyzwania wszechmocnej – jak się wydawało – władzy zakrawało na szaleństwo. Przyjemność obcowania z fotografiami zakłóca nieco dziwna metoda ich podpisywania, która nie rozszyfrowuje wielu postaci, nawet powszechnie znanych.

Czepiam się tych szczegółów, gdyż od humanisty, autora fundamentalnej pracy, do której sięgać będą badacze oraz ludzie po prostu zainteresowani naszą najnowszą historią, należy oczekiwać nie tylko kompetencji merytorycznej, ale i językowej, a także precyzji. Jeśli poważne prace historyczne pisane będą byle jak, a my będziemy na to przymykać oko, gdzie pozostanie miejsce na naprawdę poprawną polszczyznę i dokładność?

Te zgryźliwe uwagi nie zmieniają jednak faktu, że praca Tomasz Sikorskiego dostarcza wiele materiału do przemyśleń, zwłaszcza dla kogoś, kto – jak piszący te słowa – drugą połowę okresu działania RMP (lata osiemdziesiąte) przeżył świadomie i niezłe ją pamięta. Ot, choćby takie słowo „realizm”. Młodopolacy używali go nader często, a za nimi autor poświęconej im pracy, zresztą w pełni zgodnie z terminologią przyjętą w polskiej myśli politycznej. Realizm ów – przeciwstawiony nierealistycznym dążeniom insurekcyjnym – miał w wydaniu RMP oznaczać liczenie się z geopolityką, a tłumacząc to na język bardziej zrozumiały – z niemożliwą do pokonania siłą Związku Sowieckiego. Stąd propozycje, by – miast rzucać się z motyką na słońce i np. dążyć do rozbitcia Sowietów, wspierając w prometejskim duchu wolnościowe dążenia innych narodów – przyjąć istnienie ZSRS jako daną i usiłować uczynić PRL bardziej własnym państwem.

Szkopuł w tym, że tego rodzaju dążenia musiały spotkać się z podobnym realizmem drugiej, komunistycznej strony. Rządzący jednak nijak nie chcieli zrozumieć, że ograniczenie ich władzy leży w ich interesie... Zaczęli przejawiać takie tendencje dopiero wtedy, gdy zdali sobie sprawę z tego, że grunt usuwa się im spod nóg – a próby znalezienia wyjścia w realistycznym duchu zakończyły się upadkiem komunizmu. Można to oczywiście uznać za sukces realistów, jednak moim zdaniem jest wręcz przeciwnie: warunkiem realizacji scenariusza realistów okazało się... spełnienie nierealistycznego warunku upadku Związku Sowieckiego, co prowadziło do końca komunizmu w Polsce. Dopiero wtedy, gdy Michał Gorbaczow wycofał się z doktryny Breżniewa (o czym opozycja wiedziała nie od razu, ale władza – i owszem), mógł zostać uruchomiony scenariusz realistyczny. I choć ostatni gensek nie miał zamiaru demontować swego państwa, to jednak uruchomił logikę, na której (rychłym) końcu był upadek ZSRS.

Odwrotną stroną owego realizmu, który okazał się nie całkiem realistyczny, był insurekcjonizm. Walce z nim poświęcili młodopolacy niemało stron swej wielce interesującej publicystyki, którą Tomasz Sikorski obficie cytuje i omawia. Już jednak w czasach, w których ona powstawała, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że antyinsurekcjoniści walczyli z fantomem. Przecież nikt poważny w latach osiemdziesiątych XX w. nie zamierzał wszczynać powstania. Owszem, w XIX w. szlacheccy synowie z okiem dobrze wyszkolonym na polowaniach, wyposażeni w myśliwskie sztucery dobrej jakości, których nie brakowało w żadnym dworku, mogli marzyć o walce z bronią w rękę z regularnym wojskiem zaborców. Doświadczenia wojen dwudziestowiecznych oraz świadomość bezwzględności totalitaryzmu skutecznie leczyły z takich mrzonek. Nie bez wpływu było też nauczanie Kościoła, składające do oporu bez przemocy. Krótko mówiąc – insurekcjoniści nawet nie marzyli o insurekcji.

Publicyści młodopolscy w jej miejsce podstawiali mit strajku generalnego, który miał być

dwudziestowiecznym ekwiwalentem powstania. Szkopuł w tym, że ten mit już wtedy, w latach osiemdziesiątych, był raczej wyrazem bezradności niż realną propozycją. Pod wpływem lektury *Konspiracy* napisałem w 1985 r. tekst rozpoczynający się od obrazu wielkiej i potężnej maszyny, która jednak... niczego nie napędza, mimo wielkiego trudu uwijających się wokół niej osób. Tak właśnie jawiło mi się wówczas solidarnościowe podziemie: grupa dobrze zorganizowanych i ofiarnych ludzi, którzy jednak zupełnie nie wiedzą, co począć z przeważającą siłą komunistycznej władzy. Nadzieje na strajk generalny były zagadywaniem poczucia beznadziei, a nie aktem nieodpowiedzialnej tromtadracji: do czego miał on doprowadzić? Do tego, że – parafrazując ówczesne hasło – WRON odejdziesz won za Don? Na to naprawdę trudno było liczyć. Nawiasem mówiąc, mój tekst został odrzucony przez „Tygodnik Mazowsze” – bynajmniej jednak nie uznano go za nieprawdziwy, tylko za nadto defetystyczny...

Wobec takich nastrojów antyinsurekcyjne hasła publicystów RMP jawiły mi się wówczas i jawią nadal jako przywdziewanie dziewiętnastowiecznego kostiumu, który słabo pasował do sytuacji lat osiemdziesiątych XX w. Zasadniczym, nieprzewidywalnym problemem, jaki stał przed ówczesną antykomunistyczną opozycją, był brak jakiegokolwiek realnej szansy na upadek Związku Sowieckiego – gwaranta władzy komunistycznej w Polsce. Dobrze streszczał go dowcip, który w 1981 r. opowiedział Jacek Kuroń na tłumnym spotkaniu ze studentami Uniwersytetu Warszawskiego. Mówił, że są dwa sposoby pozbycia się Sowietów z Polski: zwyczajny i cudowny. Sposób zwyczajny polega na tym, że przybędzie św. Michał Archanioł z mieczem ognistym i ich przepędzi; cudowny – że wyjdą...

Innym fantomem, z którym wytrwale walczyli młodopolacy w latach osiemdziesiątych, było „społeczeństwo podziemne”. Ten koncept pojawił się na początku stanu wojennego pod wpływem upadku jawnej Solidarności, kiedy wydawało się,

że perspektywy jawnego niezależnego działania są na lata stracone. Sądono, że w podziemiu należy stworzyć własne, alternatywne instytucje, bo te oficjalne trwale i bezapelacyjnie zawłaszczyła komunistyczna władza. Szybko okazało się, że ta kontrola nie jest pełna, w związku z czym oficjalnie i półoficjalnie da się wiele zrobić. Nawet głosiciele tej bezkompromisowej wizji szybko odeszli *via facti* od ortodoksji. „Społeczeństwo podziemne” pozostało żywe głównie w filipikach polemistów, wśród których czołowe miejsce zajmowali młodopolacy, a lektura odnośnych fragmentów prac Sikorskiego tylko utwierdza mnie w tym przeświadczeniu.

Ponieważ ani na przybycie wojsk anielskich, ani na cud nie bardzo można było liczyć, pozostały ćwiczenia z myślenia politycznego, które z wielkim moim zdaniem pożytkiem uprawiali młodopolacy. Postawili przed sobą zadanie karkołomne: odbudować myśl prawicową w sytuacji komunistycznego zniewolenia, w świecie, w którym tak wiele się zmieniło w stosunku do czasów, gdy myśl ta mogła się rozwijać w sposób nieskrępowany. Owszem, była emigracja, były wysiłki szlacheckich jednostek w kraju, jednak nie zmieniało to wrażenia radykalnego zerwania ciągłości. RMP był tym środowiskiem, które tę ciągłość postanowiło odbudować, nie zamykając oczu na zasadniczą zmianę kontekstu. Skupiło się przy tym z jednej strony na sprawach zasadniczych, z drugiej – na poszukiwaniu możliwości działania w warunkach zniewolenia. Nie jest przypadkiem, że w przemysłeniach publicystów RMP darmo właściwie szukać wizji Polski po upadku komunizmu. Tę słabość dzielili zresztą z innymi ugrupowaniami opozycyjnymi.

Gotów jestem rozgrzeszyć z tej winy zarówno młodopolaków, jak i ich ówczesnych opozycyjnych oponentów. Perspektywa upadku komunizmu jeszcze w latach osiemdziesiątych wydawała się tak odległa, że trudno doprawdy się dziwić brakowi refleksji o tym, jak ma wyglądać wolna Polska. Nie sposób było przewidzieć, jak do niej

było blisko. Zarzut braku wizji Polski po komunizmie pojawiał się w ówczesnych polemikach, ci jednak, którzy go podnosili, wcale nie okazali się lepsi w przewidywaniach. Można zresztą mieć wątpliwości, czy gdyby już wówczas zaczęto takie rozważania, miałyby one większą wartość po rychłym a niespodziewanym końcu PRL. Sytuacja wolnej Polski tak różni się od tego, co w latach osiemdziesiątych nam wszystkim się wydawało, że nie żał mi tych jej wizji, które nie powstały.

Praca Sikorskiego pokazuje dowodnie, że młodopolacy odnieśli sukces, tworząc interesujące środowisko odbudowujące zerwaną ciągłość prawicowego myślenia. Pokazuje również ich klęskę – to, że w wolnej Polsce nie udało im się stworzyć trwałego bytu politycznego. Autor opisuje rozpad środowiska pod koniec lat osiemdziesiątych, dostrzegając, że pęka ono po szwach, które istniały od początku – wszak nigdy nie był to krąg jednorodny. Nie wyjaśnia jednak – bo, jak mi się wydaje, wyjaśnić tego się nie da – dlaczego te zróżnicowania nie stały się siłą nowej prawicowej, posterepowskiej partii, która nigdy nie powstała. Wszak każdy ważny polityczny ruch ma skrzydła, które z jednej strony są źródłem napięć, a z drugiej – poszerzają możliwości działania i docierania do zróżnicowanego elektoratu. Polskie partie po 1989 r. powstały według najróżniejszych kryteriów, w każdej z nich znaleźć można ludzi najróżniejszych przekonań i o najróżniejszych osobistych historiach. Próba zrozumienia, które podziały okazały się trwałe, a które straciły na znaczeniu, to skądinąd materiał do fascynujących potencjalnie analiz historyczno-politologicznych.

Młodopolacy znaleźli się w III RP w wielu środowiskach politycznych. Ich wybory były bardzo różne, choć rzadko zaskakujące, może z wyjątkiem tych, które – *nomina sunt odiosa* – doprowadziły niektórych z nich w miejsca trudne do pogodzenia z głoszonymi przez tyle lat (z przekonaniem – w to nie wątpię) wartościami. Drogę, jaką przeszli, ciekawie i wyczerpująco pokazuje monumentalna praca Tomasz Sikorskiego.